NUMER 46. DNIA 15-go LISTOPADA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Ks. AUGUSTYN KORDECKI.

Znowu w dziejach naszych rocznica. Trzystolecie urodzin obrońcy Częstochowy, skromnego mnicha, któremu wielkich rzeczy dla swego narodu dała dokonać Opatrzność—kieruje umysł pokolenia dzisiejszego nową powrotną falą w czasy zamierzchłe i ich rozpamiętywanie. A zawsze w takiem zamyśleniu i przesuwaniu, niby ziarnek liczmana, wielkich rocznic, ludzi wielkich i czynów wiekopomnych, tkwi obok uczucia dumy narodowej, dużo także tęsknoty i nadzieji, tej samej jaką ma badacz jedną myślą owładnięty, gdy przerzuca omszone foliały.

Może się przecież znajdzie ratunek, może z analogicznych wydarzeń przeszłości wyniknie nauka dla teraźniejszości, wskazówka na przyszłość, a dawne klęski po których szedł zwykle ratunek wskażą zrozpaczonym i znękanym źrenicom drogę nadzieji, a może nawet historyczne tej nadzieji uzasadnienie!

Dzisiejsze losy polskiego narodu, przypominają pod wielu względami czasy potopu i najazdu szwedzkiego. Te same widzimy rysy tutaj i tam, tę samą usłużność dla wroga, to samo pomieszanie pojęć, gdzie się kończy miłość ojczyzny a poczyna zdrada. Z klęsk panowania Jana Kazimierza i z tego co z czasów owych w formie wiadomości dziś do nas doszło, odnosimy uczucie straszliwego gromu, który na ówczesne pokolenie narodu polskiego uderzył, a my dzisiaj grom ten stokrotnie lepiej rozumiemy i odczuwamy, my w których tyle gromów ciągle jeszcze uderza..,

Ale my dzisiaj jeszcze jedną rzecz nauczyliśmy się rozumieć, a częstochowska rocznica urodzin ks. Augustyna Kordeckiego pojęciu temu daje siłę przykładu i analogji.

W r. 1655 runęły wszytkie filary, podtrzymujące gmach Rzeczypospolitej. Władza królewska i majestat upadły w najgłębsze tonie poniżenia, między magnatami nie wielu się znalazło takich, którzy by mniej lub więcej jawną zdradą nie byli kopali grobu swojej ojczyźnie, rycerska szlachta haniebnie stchórzyła, obce mocarstwa zawiodły.

Ale ratunek wyszedł ze strony, z której się go najmniej spodziewano. Mnich skromny, od świata odcięty, człowiek, którego nawet Paprocki między szlachtą nie wymienia, podniósł sztandar odrodzenia, sztandar przez wszystkich możnych w owej Rzeczypospolitej porzucony i Polskę cofnął z nad brzegu przepaści.

Bo kto bronił Częstochowy wówczas, kiedy się w niej zapaliły żagwie i trysły płomienie, które kraj cały niebawem miały ogarnąć, i od których spaliła się cała potęga szwedzka? Posłuchajmy, co o tem mówi sam ks. Kordecki w „Nowej Gigantomachji“ :

— Zaiste do cudownych dzieł Wszechmocnej prawicy Boga policzyć należy to tak wielkie dobrodziejstwo w oswobodzeniu Jasnej Góry. Bo

jakżeby to stać się mogło, aby ledwo siedmdziesięciu zakonników (wcale nie żołnierzy), taką siłę w sobie uczuło, iżby z pięcią szlachty polskiej i ich nieliczną służbą, oraz ze 160 załogi pieszej, po większej części z wieśniaków złożonej, ośmieliło się opór stawić tak licznemu wojsku — gdyby był sam Bóg, opiekując się tem miejscem, ku czci swej Matki poświęconem nie natchnął tą myślą zakonników i nie dodawał odwagi wśród powszechnej trwogi?"

Podniesiony przez ks. Kordeckiego sztandar obrony podchwycili pierwsi ci, co w dawnym ustroju szlacheckiej Rzeczypospolitej najbardziej byli upośledzeni. Stanęli z mnichami i garstką szlachty przeciwko nie całej potędze Karola Gustawa tylko, ale przeciwko zwątpieniu i rozpaczy narodu, który już żadnego dla siebie nie widział ratunku i z taką samą beznadziejną rezygnacją przyjmować począł ciosy, jak później, za czasów rozbiorowych.

Wówczas ten ruch zmierzający do odrodzenia narodowego od warstw najniższych społecznych nie miał za sobą tyle świadomości, co obecnie wówczas zakończył się on platonicznemi ślubami Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej i zwiększonym uciskiem stanu włościańskiego. Dziś czasy się zmieniły na lepsze, więc też i droga po której kroczyć należy, prostsza i jaśniejsza.

Wśród wielkich i wiekopomnych czynów zatraca się nieraz pojęcie osoby, która ich dokonała. Tak się ma rzecz i z ks. Kordeckim. Wiemy wszyscy, że gdyby nie on i nagłe jego wojenne natchnienie pod suknią zakonną, kto wie, czy czas rozbioru nie byłby się o dwa wieki wprzód posunął, ale równocześnie wystarcza nam wiadomość, że ks. Kordecki był tylko przeorem Jasnej Góry, po za tem cała jego indywidualność znika, nim samym nikt się nie zajmuje, nikt życia jego nie bada.

Na innem miejscu podajemy garść szczegółów o życiu wielkiego przeora, zebranych mozolnie w czasach ostatnich. Tutaj nam jeszcze zaznaczyć wypada, że dopiero nadchodzące trzystolecie jego urodzin, pobudziło do badań w kierunku, jakie miejsce zajmuje właściwie ks. Kordecki w dziejach naszych.

A analogja w tym kierunku nie trudna. Był czas kiedy Francja, ratunek swój zawdzięczała skromnej i cichej dziewicy Orleańskiej. Czyn Joanny d' Arc podobny bardzo do czynu ks. Kordeckiego, to samo mistyczne i niespodziane natchnienie, te same skutki. Zwrócono już na to uwagę w najnowszej literaturze, a uroczystość obecna i rocznica to właściwie dopiero początek czci i kultu ks. Augustyna Kordeckiego, jako narodowego bohatera.

Pamiątki po Kordeckim.

Wobec trzechsetnej rocznicy urodzin ks. Augustyna Kordeckiego zebrał znany powieściopisarz i badacz starożytności p. Wiktor Gomulicki wszystko to, co się w klasztorze Jasnogórskim znajduje pamiątkowego po wielkim obrońcy Częstochowy. Nie wiele się tego znalazło, ale i za to należy się wdzięczność p. Gomulickiemu, tem bardziej, że są to rzeczy dotychczas zupełnie nieznane, a rzucają przecież snop wiadomości na życie tego promiennego w dziejach naszych męża. Ks. Kordecki mało zostawił śladów swego ziemskiego bytu — nawet oryginalnego jego portretu nie ma. Klasztor Jasnogórski posiada wprawdzie trzy portrety swego „przeora przeorów". Jeden wisi w „sali rycerskiej", drugi w skarbcu — oba jednak pochodzą widocznie z wieku XVIII., może nawet z początków XIX. — trzeci wisi w mieszkaniu dzisiejszego

przeora, a p. Gomulicki przypuszcza, że malował go Eleuter-Siemiginowski, nadworny malarz i sekretarz Sobieskiego, który mógł był posiłkować się jakąś nieznaną nam dziś podobizną, lub nawet pamięcią lat swych młodocianych. Opierając się na tym portrecie domyślać się możemy, że Kordecki był to mąż wysoki, a szczupły z drobną twarzą, z kształtnym suchym ascetycznym nosem i bystremi nieco skośnymi oczyma.

Były dawniej w posiadaniu klasztoru listy polskie Kordeckiego pisane do ojca w sprawie wychowania synów, były i inne rzeczy, ale zabrano je, jak zwykle „do przejrzenia“ i nie zwrócono. Nawet Kraszewski przystępując do pisania swej obrony Częstochowy, przesiadując czas dłuższy w bibliotece klasztoru, wywiózł kilka tek materjałów rękopiśmiennych i innych do czasowego użytku. Te teki drogi powrotnej nie odbyły...

Nawet nikt nie wie dziś, w której celi, przemieszkiwał ks. Kordecki. Ale natomiast zachował się w klasztorze cały stos kul armatnich szwedzkich z pamiętnego oblężenia. Niektóre są wprost olbrzymie, umieszczono je na koziołkach drewnianych. Inne mają w środku wydrążenia, jeszcze inne wyglądają jak krągłe amfory z mocnemi po bokach uchami... Kule te, wraz z innymi szczątkami stanowią zaczątek przyszłego „muzeum Kordeckiego“,

Najważniejsze jednak szczegóły o życiu Kordeckiego wydobył niedawno przeor dzisiejszy O. Rajman z annałów klasztornych z XVII. wieku i ogłosił je w „Kraju“. Z annałów tych zupełnie dotychczas nieznanych sporządzono dopiero w tych dniach odpisy, a na ich podstawie udało się nie tylko zestawić najważniejsze daty z żywota ks. Augustyna Kordeckiego, ale nawet o d n a l e ź ć p r o c h y j e g o.

Ks. Kordecki urodził się w listopadzie 1603, w dniu 25. marca 1634 przyjął habit zakonny i imię świeckie „Klemens“ zmienił na „Augustyn“. Studja filozoficzne i teologiczne odbył już wcześniej jako człowiek świecki. W Wieluniu otrzymał święcenia kapłańskie, poczem powołany został do Jasnogórskiego klasztoru, jako „wicedyrektor“ kierujący wychowaniem młodzieży zakonnej. Później był przez czas pewien przeorem Paulinów w Wielgomłymach, przez rok jeden na Jasnogórze, potem w Beszowie, Oporowie i Pińczowie skąd w r. 1650 powołany został ponownie na przeora w Częstochowie. Na tem stanowisku zastał go pamiętny w dziejach naszych rok 1655 i przesławna obrona Częstochowy. Opis oblężenia pt. „N o w a G i g a n t o m a c h i a“ wygotował sam ks. Kordecki, a zanieśli go pieszo do Rzymu delegowani przez klasztor zakonnicy. Kronika klasztoru powiada, że gdy delegacja wręczała dzieło ks. Kordeckiego papieżowi Aleksandrowi VII. w Castel Gandolfo tenże wyrzekł do nich:

— Złożyliśmy dzięki Bogu, że zdziałał dla was wielkie rzeczy. Jesteście zaprawdę Polacy szlachetni, bo zastawialiście się za Kościół święty, za ojczyznę mężnie walczyliście, nie dopuszczając, aby Szwedzi sprofanowali wasze świętości“.

Dnia 11. stycznia 1673 ks. Kordecki udał się w pewnej sprawie do nuncjatury warszawskiej, a 16 lutego tegoż roku wyjechał z Warszawy na wizytację klasztorów. W dniu 15. marca przybył do Wieruszowa i tu się śmiertelnie rozchorował na febrę, a dnia 20. marca o godzinie 4-ej popołudniu umarł w siedemdziesiątym roku życia. Ciało sprowadzono w dniu 23. marca 1873 do Częstochowy i tam pochowano w grobach klasztornych. W trzydzieści lat później, przesypano zetlałe już na popiół zwłoki do urny kamiennej i złożono na nowo pod kaplicą św. Antoniego.

W podziemiach tej kaplicy zarządzono tymi dniami poszukiwania, które odniosły pomyślny rezultat. Urna z częścią prochów wielkiego męża została odnaleziona i przy odpowiedniej uroczystości, zapewne w dniu 15. listopada b. r. ma być wmurowaną w jedną ze ścian kościoła.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(20)

Chwytała męża za ręce, ale Karski otrząsnął się energicznie i zapalił świecę. Gdy dostrzegł żonę w bieliźnie, z rozwianym włosem i wyszłemi z orbit oczami, stuloną w rogu budy, z nożem w zaciśniętej pięści, włos mu się też z przerażenia zjeżył.

— Co tobie, kochana?..

— Nie wiem! Boję się, tak się boję, że chyba umrę...

— Nie masz się czego lękać. Wszyscy śpią, a jutro... będziemy w Maczy... Może ci zgotować herbaty?..

— Dobrze by było! — odrzekła, przychodząc do siebie. — Ale ty nie wychodź. Przysięgam ci, że ktoś tu chodził... Czasami czuję wprost, że jakieś straszne objęcia wyciągają się w ciemnościach ku nam... Jakieś postacie siadają, jak zmory, koło nas i duszą za gardło... Na nic błaganie... Syna oszczędźcie, syna!.. Co winne wam małe dzieciątko... ono maluchne... ono was nie wyda... Oszczędźcie mu życia... Może kto ulituje się i wychowa go... Patrzcie, jak się do was uśmiecha... Nie kładźcie grubych paluchów na jego główkę... on ma kości cieniuchne... — znowu poczęła bredzić.

— Ocknij się Anno... On tu... śpi... Nikogo nie ma, prócz nas... Co za okropna noc... Były i przedtem... ale spałeś zawsze tak smacznie, taki byłeś spracowany... Słuchaj! Przestań pomagać im!.. Niech świat się wali.. aby do kraju!

— Dobrze, dobrze! Jutro ostatni dzień... We dnie przecież się nie boisz...

— Boję się, teraz wciąż się boję, gdy ciebie nie ma!..

— Dobrze. Ubierz się. Pójdziemy na dziób szkuty, rozpalimy ogień... Niedługo świt... Oleś może tu zostać spokojnie...

Anna wahała się.

— Dobrze! — zgodziła się wreszcie, skupiając resztę rozsądku.

Wyszli na mostek sterniczy.

Gęsta mleczna mgła szczelnie otulała statek. Brzegów widać nie było. Nawet maszt statku ledwie zarysował się na prześwietlonych poświatą księżyca oparach. Spodem szumiały niewidzialne nurty i chwilami na krótko przez niewidome w tumanach szczeliny prześlizgiwał się blask miesięczny i kreślił drżące smugi na biegnącej wodzie... Naówczas wydawało się, że płynie w niebiosach, gdzieś ponad światami, po wstęgach światłości.

Na dziobie płonęło nikłe światełko.

— Czy nie lepiej, żebym sam poszedł i sam postawił imbryk... Zaczekaj chwileczkę!..

— Nie! nie! — powtarzała, nie wypuszczając jego ręki.

Ostrożnie przeszli po skrzypiących deskach. Miarowy oddech śpiących słychać było wyraźnie po za płótnem budy. Anna uspokoiła się prawie zupełnie. Nie dostrzegła, że gdy mijali robotników, obszycie uniosło się cokolwiek i z ciemności wyjrzała para błyszczących oczów. Widział to Karski, ale nie dał temu wielkiego znaczenia.

— Obudziliśmy ich! — pomyślał.

Wtem Anna, która szła naprzód, drgnęła i cofnęła się: u ogniska siedziała mglista mistyczna postać...

Był to Koźma. Przybycie Karskich nie zdziwiło go bynajmniej, owszem, przyjął ich jakby na nich czekał.

— Ach to wy! Siadajcie, będzie weselej!.. Też nie sypiacie!?.. Widziałem nieraz, jak paliliście światło... Ja spać nie mogę... Myślący jestem... Wciąż myślę... Różne rzeczy do głowy przychodzą i spać nie mogę... Dzięki Bogu już koniec, jutro dojedziemy... Aby tylko dopisała pogoda, bo wiatr coś tłucze w opokach!.. Słyszycie?..

Dźwięki głuche, żałosne przeleciały górą nad nimi, jak stado spłoszonych ptaków. Twarz Anny rozjaśniła się. — To wiatr! — rzekła radośnie. — Nie mogłabym być marynarzem.

Popili herbatę do świtu, gwarząc o tem i o owem. Starzec rozgadał się i opowiadał o przygodach, radościach i smutkach życia na rzece. Gdy Karscy wrócili do siebie, Anna usnęła niezwłocznie, uspokojona zupełnie, a Stefan przespał się jeszcze z godzinę.

Na warudze do Koźmy przyłączył się zbudzony Guran.

X.

Wstał dzień szary i wietrzny. Poniżej szybko płynących chmur w wąwozach rzeki tłukły się z hałasem wiatr i fale. W niektórych załamach pęd powietrza takiej nabierał wściekłości, że holownicy ledwie mu mogli podołać. Pochyliwszy głowy szli z zamkniętemi oczyma, bodąc nieprzyjaciela. Guran nie krył trwogi.

— Nic nie widać... Łuszczy się i łuszczy, a czy się łuszczy od mielizny, czy od wiatru... Bóg raczy wiedzieć!.. Radziłbym poczekać!..

Ale holownicy słyszeć o tem nie chcieli. Woleli raczej, aby Guran dodał im ciężaru, puszczając statek dalej od brzegu. Dnia tego wszyscy byli w ruchu i Damian i nawet kupcy, wyjąwszy starego Bryłkina.

Mimo to zaledwie pod wieczór przybyli do ostatniej niebezpiecznej skały, którą musieli obejść. Opoka wrzynała się w sam wart i woda od wiatru i prądu kotłowała się, jak ukrop. Ogromne, sterczące z dna głazy, oślizgłe od piany, utrudniały przeprawę.

— Nocujemy chłopcy! Nie ma co! — zawyrokował Damian.

— A jakże! kto ci tu siedzieć będzie w takim cugu, mając szynk pod bokiem... Toć przecie, dzieci, zaraz za tą górą Macza... Szczerze chłopcy!.. Światło ztąd widać... Poradzę ci, Damianie, po ludzku: albo ruszajmy zaraz, dopóki jeszcze dni się, albo... nie ufaj nikomu i szkutę cofnij nazad na ciche wody — radził znacząco Indor.

Damian wzdychał, gdyż rozumiał, że rada istotnie była słuszną, a nazajutrz mógł się obudzić bez połowy ludzi.

— Szukaj ich potem, albo najmij po pięć rubli z mordy! — nauczał na dowodzenia Gurana.

— Jeżeli ruszać, to ruszać! Dalej dzieci do pólki, noc za pasem!.. — kazał sternik.

Pierwszą skałę obeszli dość pomyślnie, ale po za nią była druga znacznie niebezpieczniejsza. Pośrodku urwisko tworzyło niewielki wnęk, do którego zawracała woda z „porogu“ i tworzyła cichą zatoczkę. Ale grzęda rumowisk spadłych z opoki przeszkadzała szkucie tam się dostać. Tylko orylów, potrzebnych do przeciągnięcia statku, przewieziono z wielką trudnością na czółenku. Szkuta została wśród huczących bałwanów. Karski z przerażeniem patrzał na siwe łapy wód, skaczących koło głazów i łodzi, na kotłowanie się głębiny ryczącej, szczekającej, wyjącej jak kłąb białych, rozwścieczonych, gryzących się, spienionych, kudłatych potworów... Od tego hałasu, od biegu i migotania fali, od drżenia bitych przez nią skał huczał w głowach orylów straszny, nużący, obezwładniający zamęt. Tymczasem należało pilnie baczyć na dygocące i napięte, jak struny, liny szkuty, na bosaki słabo zaczepione o burty i oślizgłe rapy. (C. d. n.)

HERMAN HEJERMANNS

BARTJE.

Co się przydarzyło Bartje, w przeddzień jej śmierci.

Na jeden dzień przed śmiercią wpadła ona na najosobliwszy w życiu swojem pomysł. Siedmdziesiąt dziewięć lat mieszkała spokojnie, bez żadnych wypadków w Arnheim. Mąż jej umarł. Wilhelm żył. Wilhelm był jej synem, który przebywał dawniej w Atjeh, a teraz był w Amsterdamie w obowiązku. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłaby Bartje umarła bez tej jedynej, a osobliwej w życiu swojem przygody, gdyby jej nagle nie było wpadło na myśl odwiedzić Wilhelma.

W Arnheim ludzie opowiadali, że tani pociąg wycieczkowy odchodzi codziennie do Amsterdamu. Bartje nigdy przedtem nie jeździła koleją. Teraz jej się zachciało. Chciała jechać i niedała sobie w żaden sposób wyperswadować. Stała się naraz upartą. Gdy jej, mieszkająca opodal sąsiadka wspomniała o podeszłym wieku, Bartje śmiała się, mówiąc, że potrafi jeszcze za-

tańczyć Horlepiep *). Zachciało się jej. Chciała zrobić Wilhelmowi niespodziankę. Chciała zobaczyć Amsterdam. Odrazu odmłodniała o lat kilkanaście.

Gdy już wreszcie siedziała w wagonie trzeciej klasy, położywszy stare, pomarszczone ręce na torebce podróżnej, on wołał do niej jeszcze raz: „A czy pamiętasz wszystko ciociu Bartje?“

— Tak, tak, tak — mruczała niechętnie.

— A może lepiej będzie, jeżeli ci to napiszę na kartce papieru?

— Ach Boże! nie — jakiś ty nudny człowieku.

— No! a jeżeli zapomnisz?

— Nie zapomnę.

— U Pietersa, ulica Oude Zijdes Voorburgwal...

— Dobrze — dobrze.

— A czy pamiętasz jeszcze numer domu?

— 466.

— Nie... otóż masz... 463.

— Zapamiętam go dobrze.

— A czy flaszka nie upadnie?

— Jest zapakowana.

— A bądź ostrożną przy wysiadaniu.

— Dobrze, dobrze...

— Nie zgub gdzie biletu powrotnego!

— Nie bój się.

— No... do widzenia ciociu... a uważaj dobrze na drzwi — posuń trochę płaszcz do siebie.

— Do widzenia.

— Szczęśliwej podróży.

— Do widzenia.

— 463... Oude Zijdes Vooourburgwal!

Pociąg ruszył z miejsca. — Bartje z zadowoleniem usiadła w swoim kąciku. Postawiła flaszkę obok siebie i wygładziła fałdy brunatnej swojej chustki. Z zadowoleniem wyglądała przez okno i dziwiła się, że tak dobrze jest jechać koleją. Z zadowolenia poruszała ustami. Czyniła tak zawsze. Nikt nie widział co ona tak żuje w ustach, ale każdy wiedział, że żuje. Pomarszczone usta poruszały się miarowo tam i z powrotem, a głębokie fałdy skóry na jej szyji ani chwili nie zaznały spoczynku.

Było to takie spokojne, wygodne przyzwyczajenie starej kobiety, objawiające się miarowem otwieraniem ust, w których widać było brunatne resztki zębów, poprzegradzanych dużemi, czarnemi lukami. Siwy włos leżał gładko na kościstej głowie. Czerwono - brunatna chustka wisiała bez zarzutu na niebieskiem świątecznym kabacie.

Siedziała w przepełnionym przedziale. Dziewczęta i chłopcy siedzieli w około — sami weseli ludzie — spiewający jedną piosnkę za drugą.

— Czy jedziecie także do Amsterdamu matko?..

— Tak panie.

— Pewnie do rodziny.

— Do syna.

— Czy mieszka on w Amsterdamie?

— Od sześciu miesięcy.

— No to się będzie cieszył, gdy was zobaczy.

— Może być.

— A bywacie często u niego?

— Nie kochany panie — nie miałam nigdy czasu na podróże.

Potem rozmawiali, potem znowu spiewali wesołą piosnkę, którą huk pociągu przygłuszał. Była tam jedna mała dziewczynka, bardzo grzeczne dziecko, która każdemu rozdawała cukierki, inna znowu częstowała pasażerów wodą kolońską. Bartje siedziała zadowolona, żując ustawicznie i ściągając żółte fałdy skóry swego oblicza.

Niespodziewanie wcześnie przybyła na miejsce. — Czas przeszedł w oka mgnieniu.

— Do widzenia panienko!

Ty, pomóż no tam tej starej kobiecie!

Stanęła na peronie w Amsterdamie. — Tuż przed nią stał urzędnik kolejowy.

— Szanowny panie naczelniku — czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, gdzie jest... gdzie jest...

— Czego sobie życzycie matko?

— Chciałabym do mego syna, który mieszka... który mieszka... ach mój Boże... zapomniałam jak się ta ulica nazywa.

— Czy to może niedaleko stąd?

— Niewiem.

— A jak się syn nazywa?

— Wilhelm.

— Ale jakie nazwisko?

— Wilhelm de Boer.

— Nieznam go — czemże on jest?

— W obowiązku.

— I nie wiecie gdzie on mieszka?

*) Narodowy taniec holenderski.

— Ach! przypomnę sobie może znowu — proszę poczekać — proszę chwilkę poczekać...

Przed dworcem biegała tam i napowrót między dorożkami i tramwajami, wysilała pamięć, natężała ją z trwogą. Nie mogła sobie przypomnieć. Było to takie osobliwe i dziwaczne nazwisko, takie bardzo długie nazwisko. Spróbowała jeszcze raz i drżąc ze strachu przemówiła do jakiegoś dorożkarza:

— Mój panie, czy pan nie zna przypadkowo mego syna?

— Syna pani?

— Nazywa się de Boer.

— Ach matko — tutaj będzie ze stu Boerów. Nie wiecie na której ulicy on mieszka?

— Ulica... ulica... to straszne, a jednak pamiętałam ją tak dobrze!

— Dlaczego nie kazaliście sobie napisać na kartce?

— Nie umiem czytać mój panie.

— Powiedzno Tinus, czy słyszałeś kiedy o jakim de Boer?

— De Boer? Znam jednego szewca, który się nazywa de Boer. — Może to ten?

Boże! nie — nie panie — mój syn jest w obowiązku.

Nikt nie umiał jej poradzić.

Usta drżały jej tak, że je musiała ręką podtrzymywać. Co teraz pocznie? Czy ma iść dalej i pytać dopóki go nie znajdzie? Pobiegła na prawo na ulicę Wesper, oglądając się dokoła, onieśmielona tłumami ludzi. Za chwilę wróciła wolnym krokiem, wymijając każdego przechodnia, każdemu w oczy patrząc, czy to nie Wilhelm przypadkiem. Tam znowu przystanęła na chwilę, pytając cicho: „czy nie zna pan może jakiego Wilhelma de Boer? Ale nikt go nieznał.

Odesłano ją do sklepu, gdzie sprzedają masło, ser i jaja, ale i kupcowa nie słyszała nic o Wilhelmie de Boer.

Przeszedłszy całą ulicę wróciła znużona, znowu na dworzec kolejowy. Usiadła na schodach, a podparłszy głowę na rękach poczęła cicho płakać.

— Czy brakuje wam czego matko?

— Szukam mojego syna.

— Czy wam uciekł?

— Nie — nie.

I zaczęła znowu opowiadać, co jej się przydarzyło. Potem zamknęła oczy i poczęła się modlić. Modliła się zawsze, ile razy miała zmartwienie. I teraz modliła się cicho, złożywszy stare, drżące ręce: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie... powiedz mi tylko jak się nazywa ulica... ta ulica, gdzie Wilhelm... Boże... powiedz mi to...

Tłum ludzi otoczył ją w koło. Jeden opowiadał drugiemu i pytał: „Czy słyszałeś co o Wilhelmie de Boer... Wilhelm de Boer... Wilhelm de Boer?... tak się nazywa jeden rzeźnik... nie... ten ma być w obowiązku... Czy nikt nic nie wie? Idźcie na policję! Ale po co ma daremnie biegać — co może wiedzieć policja!

— Usiądźcie sobie w poczekalni matko!

— Dobrze — pójdzie. Nie ma tam przynajmnej obcych ludzi, którzy się gapią na nią i nic jej nie mogą poradzić. Usiadła na jednej z ławek zamyślona z drżącymi ustami i białemi wargami.

Przeszło wiele godzin — ale nazwisko ulicy... to długie i straszne nazwisko nie wpadło jej na myśl.

Siedziała tak godzinami — milcząca, coraz bardziej bezsilna, z rozgorzałymi gorączką oczami, przygarbiona... Gdy inni wycieczkowcy wrócili znowu wieczorem na dworzec, siedziała ciągle na tem samem miejscu, a obok niej koszyk i nienaruszona flaszka z mlekiem.

— Czy widzieliście swego syna mateczko?

— Nie... odparła szlochając... nie miałam szczęścia... nie... nie... nie.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Pisma Zygmunta Krasińskiego*, wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne zupełne ze słowem wstępnem bjografją poety prof. dr. Józefa Kallenbacha. Chcąc zapełnić lukę pochodzącą z braku zupełnego krytycznego wydania dzieł Zygmunta Krasińskiego, powierzyła Księgarnia Polska we Lwowie prof. Tadeuszowi Piniemu przygo-

towanie kompletu pism wielkiego poety. Wydanie to podobne do wydanych już nakładem tej księgarni dzieł Adama Mickiewicza i Juljusza Słowackiego, oparte na pierwszych edycjach i autografach poety obejmie utwory jego w porządku chronologicznym z dodaniem warjantów i objaśnień rzeczowych. Oprócz tego zawierać będzie to wydanie wszystkie niedrukowane dotąd prace, nie wyłączając utworów pisanych po francusku.

Chrzanowski Ignacy. *Okruchy literackie*. Warszawa 1903. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Niewielka ta, na korzyść Kasy nauczycielskiej w Warszawie, wydana książeczka zawarła w sobie istotnie „okruszyny“ badań historyczno-literackich z różnych epok i czasów. Ośmnastego wieku tyczy się pięknie napisany szkic jubileuszowy w setną rocznicę urodzin Stanisława Konarskiego. Reszta pochodzi z rozpamiętywania twórczości poetyckiej XIX wieku. Do najcelniejszych zaliczyłbym rzecz p. t. „Smutek Gabrjeli“, jest ona bowiem skreślona z ogromnem przejęciem się utworami Żmichowskiej i głębokim pietyzmem dla tej tak zasłużonej a tak mało dziś znanej autorki. Wspomnienie pośmiertne o Kornelu Ujejskim jest może najlepszem ze wszystkich wspomnień, jakie ukazały się po zgonie twórcy „Chorału“. Autor bowiem wstrzymał się (jak tego inni nie czynili) od ujemnej krytyki poezji Ujejskiego, wskazując wyłącznie strony jej jasne. Metoda ta przecież nie zaprowadziła p. Chrzanowskiego do nadmiernych zachwytów i pozwoliła mu utrzymać należytą miarę krytyczną. Inna znowu praca p. t. „Album pani Kostrowickiej“, omawia obszernie utwory Filaretów, które też p. Chrzanowski po raz pierwszy tu ogłosił, a nadto zajmuje się znanym utworem Mickiewicza p. t. „Majtek“, podając autentyczny tekst wiersza. Szkic o „Ideałach i filozofji Asnyka“, oraz „O pierwszej powieści Sienkiewicza“ są zanadto trochę feljetonowo traktowane, ten drugi zwłaszcza zbyt błahy. Sympatyczną tę książeczkę kończy gruntowe omówienie poematu G. Daniłowskiego „Na wyspie“. *wi.*

PISMA. *Pamiętnika towarzystwa tatrzańskiego* wyszedł rocznik dwudziesty czwarty i obok części sprawozdawczej za ubiegły rok administracyjny, zawiera także obfity dział naukowy i turystyczny. W dziale tym pomieszczono przedewszystkiem dosłowny tekst wyroku sądu rozjemczego w sporze o Morskie Oko, prace pp. Zygmunta Weyberga i Mieczysława Limanowskiego z zakresu geologji Tatr, wyniki spostrzeżeń meteorologicznych dokonanych w r. 1902 i kronikę turystyczną za tenże rok. Obfity ten naukowy materjał urozmaicony jest zajmującą i ciekawą rzeczą p. Walerego Eliasza Radzikowskiego, pt. „Wspomnienie o schroniskach nad Morskiem Okiem“. Szanowny autor zebrał wszystko, cokolwiek, począwszy od roku 1830 wiadome jest o schroniskach nad Morskiem Okiem i opisał żywo i barwnie. — Jestto wcale ciekawy przyczynek do historji taternictwa wogóle.

Krakowski „Przegląd powszechny“ w zeszycie za listopad b. r. zawiera bardzo ciekawy artykuł p. Lucjana Rydla: „W obronie narzeczy ludowych przed szkołą wiejską“. Autor zwraca uwagę i drastycznymi przykładami udowadnia, że szkoła ludowa tępi narzecze ludowe w ustach chłopców wiejskich, podczas gdy gimnazjum znowu zachwycać się im każe językiem pisarzy złotego wieku literatury naszej, będącym niczem innem, jak przeniesieniem narzecza ludowego do książki. Stąd też pochodzi, że siedmioletni Wojtuś w szkole ludowej otrzyma surową naganę od nauczyciela, gdy się odważy powiedzieć naprzykład „Piotr i Paweł dwaj sąsiedzi zawdy jeno kłócili się ze sobą“, podczas gdy tenże sam Wojtuś dostawszy się przypadkiem do gimnazjum zachwycać się będzie wraz z profesorem literatury nad ustępami „Trenów“ Kochanowskiego, gdzie znajdzie np. „Zawżdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi“, lub „Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję“. — Autor sądzi, że bez uszczerbku dla oświaty owszem z niemałą dla niej korzyścią byłoby połączone takie zaniechanie walki szkół z narzeczami. Niech elementarz pisany będzie, jak dotychczas, literackim językiem, niech przy czytaniu nadal przestrzeganą będzie wymowa książkowa, tak samo jak przy pisaniu, po za tem jednak winna szkoła pozostawić ludowi każdej okolicy narzecze jemu właściwe, jako rzecz piękną i cenną, nie zasługującą bynajmniej na tępienie.

W tymże samym zeszycie rozpoczyna ks. K. Czaykowski T. J. dłuższą polemikę z poglądami prof. Brücknera na działalność Cyryla i Metodego, uważanych dotychczas za apostołów Słowian.

„Architekt“, zeszyt 10 (za październik), podaje rysunkowe reprodukcje szeregu prac architektonicznych, osnutych na motywach ludowych. Wobec niewielkiego stosunkowo plonu, wyraża redakcja obawę, czy walka, która toczyła się o dzieła tego typu w ubiegłym roku, która przybrała duże rozmiary, oraz niezwykłą i szkodliwą ostrość tonu, nie wpłynęła zniechęcająco na szereg artystów. — W każdym razie nie przyczyniła się ona do rozbudzenia w publiczności zamiłowania do sztuki z gruntu rodzimej, skoro tylko sporadycznie występują tego rodzaju dzieła. „Wyrażamy obawę — kończy redakcja — czy wobec tego i pośród tak serdecznych przyjaciół ten typ tworzenia rozwinie się należycie, nie przypuszczając oczywiście braku interesu u artystów.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.